# POLSKA NA MORZU

PISMO LIGI MORSKIEJ i KOLONJALNEJ

Nr. 8 | WARSZAWA, SIERPIEŃ 1936 | ROK 3



Spadł na nas cios wielki, niezmiernie bolesny: Przywódca nasz, ś. p. gen. Gustaw Orlicz-Dreszer—nie żyje...

Stała się prawda nieubłagana, w której tragizm uwierzyć trudno wszystkim, znającym Jego niespożytą energję i entuzjazm młodzieńczy, pełen żołnierskiego rozmachu i mądrej, przewidującej, dalekosiężnej inicjatywy,— znającym Jego najgłębsze umiłowanie Sprawy i Jego autorytet, jakże wysoki, — Jego postać rycerską i jakże szlachetną...

Inspektor Armji, Inspektor Obrony Powietrznej, Prezes Ligi Morskiej i Kolonjalnej — żołnierz, lotnik i pionier idei morskiej — te trzy postacie w jedną się wcieliły.

Śmierć Jego jest symbolem Jego życia: zginął piękną śmiercią lotnika i marynarza.

Śmierć Jego tragiczna ugodziła nietylko w najbliższych. Stratę bolesną poniosło i odczuło całe społeczeństwo, które On prowadził ku Polsce, wielkiej na morzach, — ku Polsce, co zasobna być musi w kolonje.

Niepowetowaną ponieśliśmy stratę. Niechże jednak pamięć nasza o tym Świetlanym Rycerzu — niestrudzonym, wprost fanatycznym bojowniku polskiej myśli morskiej i kolonjalnej — stanie się nam najlepszym i najtrwalszym drogowskazem, jak mamy prowadzić dalej wielką Sprawę, której On rozumem swym i sercem szlaki wytyczył.

Z dorobku Jego nic nie utracimy. Iść naprzód — bo tak nam zawsze nakazywał — musimy. To postanawiamy i w tem trwać będziemy.

LIGA MORSKA I KOLONJALNA

# NA ŚMIERĆ RYCERZA

Sztandary Ligi Morskiej i Kolonjalnej, serca wszystkich jej członków okryła ciężka żałoba. Odszedł od nas na zawsze Ten, który rozbudził wielki ruch społeczny w Polsce na rzecz morza i kolonij, który tym ruchem objął wszystkie ziemie i wszystkie warstwy Narodu w kraju i na obczyźnie.

„Polacy, naprzód!“ — brzmią nakazem słowa ostatniego artykułu, którym na łamach „Morza“ wołał do nas, patrząc z Kamiennej Góry na Gdynię i Bałtyk.

Naprzód, ciągle naprzód — to zawołanie całego Jego życia, które rozbłysło nieustraszonem bohaterstwem i sławą pierwszej polskiej szabli Orlicza, poprzez Legjony, I Pułk Szwoleżerów — aż do zwycięskich zapasów Dywizji Jazdy, na której czele rozbijał bolszewickie zagony.

Nie śnił i nie prawił, a walczył o Wielką Polskę. Już za młodzieńczych lat, gdy jako jeden z przywódców Młodzieży Narodowej, zwoływał ją dla służby Sprawie, wiedział, że tylko daniną z krwi, siłą i wolą zwycięstwa — zdobyć będzie można Polskę Niepodległą. Zdobywał Wielką Polskę wierną służbą w Legjonach, poprzez więzienia niemieckie, przez formowane w ogniu walki pułki kawalerji, — zdobywał Ją, gdy kopyta Jego konia pierwsze uderzyły o bruk wyzwalanego Wilna, gdy gnał później na krwawe boje ku zagrożonym południowo-wschodnim kresom. Sławę i zwycięstwo niósł na swojej szabli.

A gdy po wyścigu krwi przyszedł wyścig pracy, gdy za trudy i znoje, za sławę żołnierską otrzymał nowe zaszczyty i nowe, wielkie obowiązki, nic nie utracił z Siebie i Swego zawołania: „Ciągle naprzód!“

Generał brygady, dywizji, Inspektor Armji, ostatnio Inspektor Obrony Powietrznej — oto zaszczytne i odpowiedzialne obowiązki, które stawiały go w pierwszym szeregu pełniących służbę Rzeczypospolitej. Służba i sława żołnierska nie wypełniały nigdy całości Jego życia. Od lat młodzieńczych niósł umiłowanie i troskę o wszystkie sprawy publiczne. Był uosobieniem i wzorem żołnierza-obywatela, który społeczną pracą uzupełniał Swą chwalebną służbę wojskową.

Nie jest dziełem przypadku, że na czele Ligi Morskiej i Kolonjalnej stanął żołnierz, ś. p. generał Gustaw Orlicz-Dreszer. Służba wojskowa i służba morzu, to najlepsze szkoły wychowania narodowego, które muszą przeobrazić psychikę naszego Narodu, wyplenić z nas bierność, słabość, brak decyzji i wytrzymałości w walce. Służba wojskowa i służba morzu, w pojęciu naszego zmarłego Przywódcy — dadzą nam poczucie siły, zaprawią do karnego i solidarnego działania, uczynią z nas Naród walki, a takim być musimy, od wieków ze Wschodu i Zachodu najazdem zagrożeni.

Ludźmi siły, siły duchowej i fizycznej, pragnął widzieć Polaków w kraju i na obczyźnie. Nieubłagany dla słabości, wypowiadał jej walkę wszędzie. Nieustraszony żołnierz, był też niezłomnym wychowawcą, którego odwaga cywilna odsłaniała wszędzie i zawsze groźne dla bytu Polski i Jej przyszłości — słabizny i schorzenia.

Ileż to razy na zjazdach naszych, On, uosobienie siły i wiary, płomiennego, młodzieńczego zapału, czynu i pewności zwycięstwa — odsłaniał przed nami złą rzeczywistość, słowami prawdy smagał marazm i dojutrkowanie w życiu naszem. „Jesteście ciągle w poszukiwaniu idei — mówił do nas — gdy w Polsce tyle wielkich potrzeb niezaspokojonych, gdy woła do nas nędza i karłowacenie szerokich mas ludowych, gdy przed młodem Państwem stoją nieograniczone możliwości rozwoju, gdy wreszcie, w oczach naszych, sąsiednie narody wykuwają siłę i wielkość“. Mówił tak, jak Przy-

wódca śmiały, który wydobyć chce z żołnierzy maximum wysiłku, który każe im mierzyć siły na zamiary. Nakazywał nam i ukazywał, że lepsza i wielka przyszłość Polski leży na morzu i przez morza, że przez czynny patrjotyzm gospodarczy Polaków na całym świecie, że w śmiałem dążeniu do zdobycia dla przeludnionej Polski kolonij — leżą najważniejsze zadania dzisiejszego pokolenia Polaków.

Był uosobieniem dumy i honoru narodowego, górnie nosił imię Polaka, ale bezlitośnie tępił frazesy o „mocarstwowości", głoszone przez tych, którzy widzieli ją tylko w dekoracjach życia, w posrebrzanej nędzy pozorów, którzy nie widzieli tej prawdy, że droga do wielkości wiedzie przez nadludzki wysiłek, przez śmiałe, żołnierskie decyzje i ambicję czynów wielkich.

Niepowetowaną ponieśliśmy stratę — głosi odezwa Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Straciliśmy na zawsze Przywódcę, którego ambicją i wolą — Liga i jej sprawy wyrosły na czoło prac społecznych. Straciliśmy Przywódcę, który miał odwagę i siły rozpocząć walkę o przyszłość nie w ciasnych i zamkniętych granicach lądowych, a na rozległych szlakach morskich. Niepowetowaną ponieśliśmy stratę, bo zgasł na wieki Jego święty zapał, głęboka wiara, odwaga myśli i decyzyj, któremi podciągał nas wszystkich wyżej i wyżej.

Zamarło też dobre Jego serce. Ci, którym dane było pracować z Nim i szczycić się Jego przyjaźnią, wiedzą dobrze, że w tym żołnierzu, człowieku siły, przywykłym do rozkazywania, wydobywania z ludzi wszystkich sił w walce orężnej czy pokojowej, wiedzą dobrze, ile miał serca, serca rycerskiego towarzysza broni, kolegi — serca dobrego.

Wielkie serce i wielka ambicja zjednały Mu miłość, wynosiły wszędzie do roli wodza, pod którego przewodem rosły siły i zapał, rosła wiara szeregowców w zwycięstwo.

Odszedł na zawsze. Zabrały Go nam spod skrzydeł płatowca i uśpiły fale polskiego Bałtyku, nad którym spoczął teraz na wieki, by pełnić pośmiertną straż na oksywskiem wzgórzu, skąd wołać będzie do kolejnych pokoleń Polski, że tędy wiedzie droga na szeroki świat czynów, po chwałę i wielkość, po należne Polsce miejsce w świecie.

**Jan Dębski**

Zmarły tragicznie dnia 16 lipca 1936 r. w katastrofie samolotowej na Bałtyku, gen dyw. Gustaw Orlicz-Dreszer, inspektor Armii, inspektor Obrony Powietrznej Państwa, prezes Ligi Morskiej i Kolonjalnej i przewodniczący jej wydziału kolonjalnego, urodził się 2 październ.ka 1889 r. w Jadowie, pow. radzymiński. Wstąpił do szkoły rosyjskiej w Częstochowie, dokąd przeprowadzili się Jego rodzice. W 1903 r. zostaje przyjęty do Organizacji Młodzieży Narodowej szkół średnich. W strajku szkolnym w 1905 r. bierze czynny i kierowniczy udział. Jest w lokalnym komitecie strajkowym. W 1906 r. został przyjęty do wewnętrznej, trójzaborowej konspiracji O. M. N. szkół średnich p. n. „Przyszłość" — „Pet". Już w tym okresie zasłynął, jako jeden z przywódców Organizacji Młodzieży Narodowej szkół średnich w b. Królestwie. W 1907 r. uzyskuje maturę. Studjuje prawo we Lwowie, a następnie w Liège. U progu swego życia akademickiego zostaje przyjęty do Organizacji Młodzieży Narodowej szkół wyższych, do I-go stopnia — „Grupy Narodowej". a bezpośrednia potem do wewnętrznej trójzaborowej konspiracji akademickiej — „Związek Młodzieży Polskiej" — „Zet": najpierw do stopnia „koleżeńskiego", a wkrótce do najwyższego — „braterskiego". Z Liège, wobec słabnącego bojkotu szkół rosyjskich w 1910 r., zostaje odwołany przez Organizację do kraju i przerywa studja. Pracując ciężko na chleb, jako buchalter w kinematografie „Sfinks" przy pl. Teatralnym, wespół z Zdzisławem Lechnickim kieruje pracami młodzieży akademickiej w Królestwie i prowadzi Organizację Młodzieży Narodowej szkół średnich. Jest inicjatorem i kierownikiem bojkotu czynnego, prowadzonego najbardziej bezwzględnemi środkami. Inicjuje niezliczone akty bojkotu czynnego wobec łamistrajków Uniwersytetu Warszawskiego i szkół rządowych. Wypowiada bezwzględną walkę Narodowej Demokracji za uchwałę poznańską z czerwca 1911 r. o zniesienie bojkotu szkół rosyjskich. Nie cofa się przed aktami, które ściągają na Niego oburzenie ugodowej, ale jakże przemożnie większej części społeczeństwa. Wespół z wspomnianym Zdzisławem Lechnickim, a zwłaszcza ze zmarłym Kazimierzem Wyszyńskim, od roku 1908 sprowadza Organizację Narodową na grunt bezpośredniej akcji zbrojnej o Niepodległość. W 1912-13 r., nie przerywając pracy kierowniczej, odsługuje służbę w wojsku rosyjskim w pułku huzarów, stacjonowanych w Częstochowie, gdzie już zdobywa markę świetne-

go kawalerzysty. Po odsłużeniu służby wojskowej w r. 1914, kończy studja akademickie w Havrze, pracując w ośrodkach Organizacji Młodzieży Narodowej zagranicą. Wzięty do wojska rosyjskiego w pierwszych dniach mobilizacji rosyjskiej, 14 sierpnia 1914 r., pod strzałami stron obu, konno w pełnym rynsztunku oficerskim, przedziera się przez linię bojową do I-ej Brygady i melduje u Komendanta. Uzyskuje kolejno z powodu najwybitniejszych cnót żołnierskich i zalet dowódcy — stopień podporucznika, porucznika i rotmistrza. Prowadzi I-szy szwadron I-go pułku ułanów, potem I dywizjon tego pułku (1 i 2 szwadrony). Jest zastępcą komendanta pułku, Beliny-Prażmowskiego. Nieustraszony w boju, obdarzony brawurowym temperamentem kawaleryjskim, świetny organizator, kochany przez żołnierzy, staje się wkrótce jednym z najwybitniejszych bohaterów legjonowych. Po przejściu pułków legjonowych na reorganizację do b. Królestwa po ogłoszeniu aktu 5 listopada, odmawia narówni ze wszystkimi legjonistami I-szej Brygady przysięgi na rzecz cesarzów sprzymierzonych. W konsekwencji znajduje się w obozie internowanych w Szczypiornie, Verlu i Hawelbergu. W listopadzie 1918 r. przyjęty został do Wojska Polskiego w stopniu majora. Rozbraja Niemców w okręgu chełmskim i wołyńskim, którego następnie staje się dowódcą. Rozbrajanie okupantów czyni w porozumieniu z Tow. „Straż Kresowa", działającem na tym terenie. Organizuje z kadr b. I-go pułku ułanów legjonowych — I-szy pułk szwoleżerów. W dniu 1 kwietnia 1920 r. zostaje pułkownikiem, dowodzi kolejno w najcięższych miesiącach wojny 1920 r. początkowo brygadą, potem II-gą dywizją kawalerji. Zmaga się na wszystkich frontach. Skutecznie walczy z Budiennym. Po wojnie przechodzi kurs dla wyższych dowódców i kończy Centrum Wyższych Studjów w 1924 r. W tym roku zostaje mianowany generałem brygady. Dnia 15 listopada 1925 r. na czele dwóch tysięcy oficerów, ofiaruje do dyspozycji swoją szablę Komendantowi Józefowi Piłsudskiemu, będącemu w osamotnieniu sulejówkowskim. Minister Spr. Wojsk. postanawia Go za to wystąpienie tranzlokować do Poznania. Wypadki majowe przekreśliły to postanowienie. W maju 1926 r. Gustaw Dreszer jest dowódcą sił zbrojnych po stronie Komendanta. W 1926 r. przechodzi do Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych w charakterze generała do prac. W 1930 r. zostaje inspektorem Armji. W 1931 r. w dniu 1 stycznia zostaje mianowany generałem dywizji. Dekretem Prezydenta z dnia 4 lipca 1936 r. zostaje mianowany inspektorem Obrony Powietrznej Państwa.

Posiadał Krzyż Virtuti Militari, czterokrotny Krzyż Walecznych, Krzyż Niepodległości z mieczami oraz szereg innych orderów krajowych i zagranicznych.

Ostatnie 5 lat poświęca się pracom o charakterze społecznym: obronie wybrzeża, wzmocnieniu Marynarki Wojennej i aspiracjom kolonialnym Rzplitej. W 1930 r. zostaje prezesem Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Z małej organizacji w ciągu 5-ciu lat czyni największą obok L. O. P. P. instytucję w Polsce.

Był człowiekiem odrodzenia. Znał wszystkie rodzaje broni. Był dowódcą kawalerji, piechoty, współpracował z Marynarką Wojenną, zginął jako najwyższy dowódca sił powietrznych Polski. Płomienny trybun, wybitny publicysta, walczył orężem, piórem, słowem, pracą społeczną, przedewszystkiem zaś wielkiem, gorącem sercem, dla którego nic, co polskie nie było obce. Pracował nad wyzwoleniem ukrytych sił dynamicznych Narodu polskiego. Zawsze żył i pracował nietylko dla „dziś", lecz i dla „jutra" Polski.

Trumnę Prezydent Rzeczypospolitej udekorował wielką wstęgą Odrodzenia Polski.

*

W tragicznym wypadku pod Orłowem, który wstrząsnął całą Polską, zginęli również ś. p. ppłk. Stefan Loth i ś. p. kpt. Aleksander Łagiewski.

Pierwszy z tych dzielnych oficerów urodził się w r. 1896 w Grodźcu (woj. łódzkie), gimnazjum zaś ukończył w Warszawie, a po wcieleniu do wojska rosyjskiego — ukończył w Moskwie szkołę wojskową, co pomocne Mu było w organizowaniu formacyj polskich w Saratowie i Syzraniu, i później, gdy po powrocie z szeregów I Korpusu Wschodniego do Warszawy, pełnił funkcję instruktora w P.O.W. jako student Politechniki. Jego niepospolite zalety charakteru, odwaga i męstwo, zajaśniały niezwykłym blaskiem podczas walk w r. 1919 pod Lwowem, potem w kampanji 36 p. Legji Akad., kiedy to w r. 1920, w ofenzywie po bitwie warszawskiej dokonał wypadu na Błaszów, a w kilka dni potem z fantastyczną wprost brawurą, na czele 80 ludzi rzucił się na 30-krotnie większą kolumnę wroga, biorąc do niewoli 800 szeregowych i 18 oficerów. Za tę Jego odwagę, graniczącą z szaleństwem, otrzymał „Virtuti Militari". Z wojny wrócił w stopniu kapitana, a jako major — z odznaczeniem ukończył Wyższą Szkołę Wojenną, poczem został wcielony do G.I.S.Z., gdzie jako podpułkownik pracował ostatnio u boku ś. p. gen. Orlicz-Dreszera. Niezależnie od pracy dla Armji, wielkie zasługi położył w podniesieniu wartości fizycznej i moralnej sportu polskiego.

*

Niemniejszą tężyzną charakteru odznaczał się pilot tragicznego samolotu. Urodzony w r. 1900, po skończeniu szkoły realnej w Warszawie i Szkoły Podchorążych Piechoty, idzie na front z 21 p. p., gdzie, dowodząc kompanją, zostaje kilkakrotnie ranny; za odwagę w boju otrzymuje Krzyż Walecznych. Do służby w lotnictwie przeszedł w r. 1926, wiedziony bujnym temperamentem. Kończy szkołę pilotażu, uzyskuje opinję świetnego lotnika — ostatnio dowodził eskadrą myśliwską I p. lotn. Za zimną krew, szybką orjentację, natychmiastową decyzję: najwyższe walory pilota, jakie okazał w pewnej skomplikowanej katastrofie (wypadek lądowania z połamanym i skręconym kadłubem, uszkodzonym w locie zespołowym przez drugą maszynę, która zderzyła się z Jego aparatem) — otrzymał rozkaz pochwalny szefa Departamentu Aeronautyki. Ś. p. gen. Orlicz-Dreszer, z którym latał od szeregu lat, darzył Go najpełniejszem zaufaniem.

Tak ś. p. ppłk. Loth, jak i ś. p. kpt. Łagiewski — obaj pracowali u boku ś. p. gen. Orlicz-Dreszera — i obaj wraz z Nim zginęli. Piersi obu zdobiły liczne ordery i odznaczenia — trumny obu Prezydent Rzeczypospolitej udekorował złotemi Krzyżami Zasługi.

# Ostatnia droga Orlicza

Bezmierna, przygniatająca cisza zaległa Oksywie. Wzdłuż ulic, od Dowództwa Floty aż po cmentarz wojskowy na cyplu stromego wzgórza, ustawiły się murem milczącym delegacje i publiczność, by towarzyszyć w ostatniej drodze cieniom ś.p. generała Orlicz-Dreszera, który do końca walczył o wielkość Polski na lądzie i na morzu.

W sali konferencyjnej Dowództwa Floty stanęły trzy trumny. Boczne — ś.p. ppłk. Stefana Lotha i ś. p. kpt. Aleksandra Łagiewskiego, towarzyszów tragicznego lotu. Środkowa — Generała, utonęła w gęstwie ciężkich, bogatych wieńców, wiązanek, splecionych ze sobą tęczą różnobarwnych szarf, na których skrzyły się w mrocznym blasku świec złote napisy. Przez oszklone wieko trumny widać tylko marsową twarz Generała, o powiekach, zamkniętych już na zawsze, twarz, zastygłą kamiennym spokojem.

Znaliśmy prawie wszyscy Jego dumną, żołnierską postać o kształtach posągu — i dlatego tak trudno poradzić sobie z żalem, dławiącym gardło. Dlatego tak trudno nie zacisnąć pięści, gdy pomyśli się, że oczy Jego nigdy już nie rozgorzeją płomieniem umiłowania wielkich czynów. Dlatego tak bardzo boli szloch pokrzywdzonych śmiercią: Matki i Żony, że nic w własnej bezsile pomóc Im nie możemy.

Ruch wszczął się u podwojów sali żałobnej. Wniesiono jeszcze biało - czerwone wieńce od Prezydenta Rzeczypospolitej, który wkrótce rozjaśnił czarność obić ściennych bielą dostojnej głowy, by w uznaniu zasług Zmarłych udekorować Ich trumny: Generała — wielką wstęgą orderu Polonia Restituta, ppłk. Lotha i kpt. Łagiewskiego — złotemi Krzyżami Zasługi.

Gdy wynoszono z gmachu Dowództwa Floty zwłoki towarzyszów Generała, na tle rozżarzonego nieba zawarczała eskadra samolotów pościgowych. Czarne wnętrze wagonu - kaplicy wchłonęło dwie trumny. Wkrótce przed frontonem gmachu, w żałobnym warkocie werbli, ukazał się orszak z trzecią — Generała. Na czele konduktu, na aksamitnych poduszkach w kolorze szkarłatu, niesiono mieniące się w słońcu odznaczenia, dalej — stubarwną serpen-



*Po raz ostatni grali Mu szwoleżerowie...*



*Pan Prezydent Rzplitej i Generalny Inspektor Sił Zbrojnych w skupieniu słuchali żałobnych przemówień*

tyną rozwinął się pochód wieńców, kwiatów wspaniałych z szarfami o barwach obcych narodów, o barwach formacyj lotniczych, kawaleryjskich, Marynarki, organizacyj wojskowych, społecznych, młodzieży. Za niemi dopiero trumna, spoczywająca na barkach generałów. W głuchym warkocie werbli legła na lawecie, ustawionej na placu, skąd spod pomnika zwycięstwa floty polskiej pod Oliwą, gen. dyw. Gustaw Orlicz-Dreszer przyjął ostatnią defiladę.

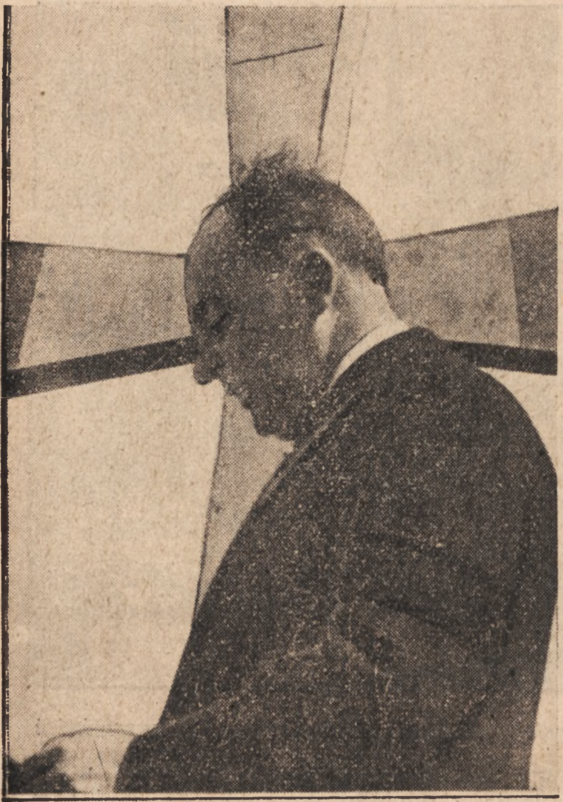
Otwierał ją gen. Wieniawa - Długoszowski.

Błysnęła w słońcu wzniesiona w górę szabla, ruszył koń spięty, a za nim uderzenie wielu kopyt, nad któremi załopotały ułańskie proporce. Pod takt żałobnych werbli szły hełmy stalowe bataljonu morskiego, łomotały koła ciężkich karabinów maszynowych. Szaro - zielone szeregi zgranatowiały wreszcie, gdy przed lawetą maszerowały oddziały Marynarki Wojennej.

Rozwinął się znów za wojskiem pas kwiecisty, utkany z róż, chryzantem, niezapominajek, nieśmiertelników, liści wawrzynu. Za grupą duchowieństwa toczyła się wreszcie laweta, a na niej trumna z czapką generalską i szablą na wieku. Stanęła w cieniu drzew przy kościółku oksywskim, w którego murach wilgotnych drzemią wspomnienia z wieków średnich. Tu, pod sklepienie, wybite bielą i czerwienią, wniesiono doczesne szczątki Generała. Po prawej stronie skromnego ołtarza opadała wstęga w barwach krzyża Virtuti Militari, po lewej — Krzyża Niepodległości. W ciasnych ścianach kościołka, zdobionych gipsowemi figurkami, znalazło się miejsce tylko dla najbliższej rodziny, Prezydenta, świty generalskiej i cywilnych dostojników państwowych. Z żałobnemi egzekwiami splatał się szloch osieroconych, woń świec spalanych, duszny zapach kadzidła, snującego się błękitnawym dymem na tle krepy i zieleni. A na dziedzińcu kościoła i dalej, śród ulic cichej wioski rybackiej, rozlały się tłumy wojska, sztandarów L.M.K. z całej Polski i morze głów ludzkich. Czekali, aż trumna z uśpionym na zawsze wyjdzie na barkach współtowarzyszów broni i pracy pod sklepienie niebios.

Wśród prezentujących broń szpalerów Marynarki Wojennej, przeniesiono Go na lawetę. Ruszył znów kondukt żałobny, piaszczystą już teraz drogą, po której obu stronach zwisały z niebosiężnych masztów czarne flagi.

Zdaleka, na tle spłowiałego błękitu nie-



*W imieniu LMK. przemawiał min. Kożuchowski*

ba, rysował się wspaniały krzyż o ramionach majestatycznie rozłożonych ku rzędom flag narodowych, przecinających horyzont wstęgami biało-czerwonemi. Perłową powierzchnię redy znaczyły stalowe kadłuby okrętów Floty Wojennej. Zboku, nad placem żałoby, przysiadła baszta ośleplej, starej latarni oksywskiej. Na samym przylądku wznosi się olbrzymi maszt. Na nim latarnik podnosi znaki, ostrzegające rybaków przed burzą. O kilka kroków od spadzistej krawędzi brzegu morskiego wykopano mogiłę, czekającą w zadumie i spokoju samotnym na prochy Generała.

Już nadchodził. Drogą od wioski, płowem ścierniskiem po zżętem, niedojrzałem jeszcze zbożu, zbliżało się czoło pochodu, ogromnym wężem ciągnącego się śród smukłych topól. Na plac weszły już delegacje z omdlałemi w upale kwiatami, splecionemi w wieńce, wiązanki, naręcza bogate. Na pustkowiu wyrosły nagle nieprzejrzane lasy bander, sztandarów z wstęgami z krepy, wśród których znaki osieroconej L.M.K. skupiały się razem w zwartej, gęstej masie. Zakołysały się fale tłumów, przygarnęły do jedynej mogiły i do trybun dla kierowników nawy państwowej. Śród szaro - zielonych mundurów generalicji, śród czerni ubrań cywilnych władz Państwa i miasta Gdyni, bielała głowa Prezydenta, na którą, pochyloną, padały donośne, pełne żalu słowa gen. Wieniawy - Długoszowskiego, żegnającego Zmarłego imieniem Armji...

Cichość padła na twarze zgromadzonych. Nie było człowieka, któremuby żal nie dławił gardła. Stało się nagle przeraźliwie jasne, nieubłagane, właśnie teraz, że „...oto żegnać mamy najlepszego spośród najlepszych".

Jakich słów dobyć na tę ostatnią chwilę, prócz słów buntu i protestu, prócz postanowienia wzięcia na siebie „...choćby części Jego energji, wiary i zapału". „I w ten sposób chociaż w części pracować. Jeżeli już zaletami i zdolnościami dorównać Mu nie możemy, nadrobić to Ojczyźnie, co Ojczyzna i Armja tracą w Jego śmierci" — wołał gen. Wieniawa.

Straciły wiele. Był przecież nietylko bohaterem walk legjonowych o niepodległość, o fanatycznej, bezprzykładnej odwadze i męstwie, był nietylko wiernym żołnierzem Komendanta, ale i do ostatka niestrudzonym szermierzem idei morskiej.

„Ś.p. Generał Orlicz-Dreszer — mówił w imieniu Ligi Morskiej i Kolonjalnej, wicemin. J. Kożuchowski — w rozwoju świadomości morskiej społeczeństwa stanowi epokę. Nie poszukiwał On łatwych zwycięstw, szedł do najszerszych mas, do zgiełku osiedlisk fabrycznych, do zapomnianych miasteczek, do ludzi najbardziej biernych".

W imieniu kolegów i przyjaciół z dawnej Organizacji Młodzieży Narodowej żegnał jednego z jej przywódców — p. Zdzisław Lechnicki — sławiąc postać zmarłego Generała, wykutą dziełem Jego życia na miarę męża stanu, którego największą troską była przyszłość Polski.

A potem młodzieży przyszło żegnać swego patrona.

Pamiętamy przecież. Troszczył się o nią, garnącą się Jego śladami na morze. Jeszcze nie tak dawno widzieliśmy Go śród harcerzy na poświeceniu ich statku szkolnego „Zawisza Czarny". Obserwował bacznie rozwój dorobku masowych obozów żeglarskich. Pokłady jachtów Akademickiego Związku Morskiego miały ten zaszczyt gościć Generała. A teraz odszedł. Cóż powie-

dzieć Mu w obliczu śmierci, cóż przyrzec, jeśli nie to: „...meldujemy Ci, panie Generale, że ideały, którym oddałeś serce Swe i życie, zostaną przez współczesne pokolenie młodzieży zrealizowane!"

Padły na trumnę Jego te ważkie, zobowiązujące słowa z ust prezesa Akademickiego Związku Morskiego, Jana Grzywaczewskiego. Nastało po nich milczenie, tylko tłumionym szlochem rwane w strzępy, gdy trumna głucho jęknęła o świeżo wymurowaną mogiłę. Oddawano ją ziemi.

Powstali wszyscy z miejsc, by ostatnim hołdem uczcić Zmarłego. I nagle z trąbki ułańskiej trysnęło w niebo „Hasło Wojska Polskiego". Potem po błoniach i morzu rozlał się marsz generalski, pieśń pogrzebowa „W mogile ciemnej" i „Brygada" wreszcie.

Pieśniom pożegnalnym z lądu odpowiedział salut wojskowy — salwa z okrętów Marynarki Wojennej na redzie. Potem ucichło wszystko i słychać było tylko straszne, raniące serce dudnienie grudy o trumnę.

Pan Prezydent i Generalny Inspektor Sił Zbrojnych ucałowali ręce Matki ś.p. gen. Orlicz-Dreszera, umęczonej cierpieniem, na które niema żadnej pociechy, ani żadnego lekarstwa. To nietylko Prezydent i Generalny Inspektor Sił Zbrojnych pochylili głowy przed Matką Jego — to cały Naród i cała Armja symbolicznie zjednoczyły się z Jej bólem i żałobą po stracie serdecznej.

Łopotały flagi. Szedł wiatr od morza o smaku goryczy i soli. Drogą odpływał tłum, delegacje. Rada Ligi Morskiej i Kolonjalnej udała się do sali konferencyjnej Dowództwa Floty, gdzie nie tak dawno jeszcze leżały zwłoki tragicznie Zmarłych, by na żałobnem posiedzeniu jeszcze raz stwierdzić, jak wielką i niepowetowaną stratę poniosło społeczeństwo, a nadewszystko Liga Morska, w śmierci swego Prezesa, bojownika o wielkość Polski na morzu.

Opustoszał zupełnie cypel oksywski, u którego stóp szumiało ledwo słyszalnie morze. Na samym zrębie wyciągnął ramiona krzyż. Legł pod nim w samotnym, wyniosłym grobie — na straży polskiego morza — Generał. Jakby na znak widomy, że tu szukać należy i budować potęgę Polski.

*Wanda Karczewska*



*Chwila najbardziej bolesna*

# F.O.M. czy F.O.N. — bez różnicy

Kto tylko w Polsce najżywiej i w sposób kierowniczy zajmuje się zagadnieniami rozbudowy naszej floty wojennej, ten wziął udział w publicznem zebraniu sprawozdawczem Zarządu Funduszu Obrony Morskiej, które się odbyło dnia 29 czerwca 1936 r. w sali Dowództwa Floty Wojennej na Oksywiu. Wśród 300-tu zebranych osób, przybyli przedstawiciele Rządu z wicepremjerem E. Kwiatkowskim i min. Romanem na czele, przedstawiciele władz miejscowych, J. E. ks. biskup Okoniewski z asystą, oficerowie Marynarki z admirałem Unrugiem na czele, przedstawiciele organizacyj społecznych, wreszcie Zarząd Funduszu Obrony Morskiej i Zarząd Główny L. M. K., które to organizacje reprezentowali pp.: gen. dyw. K. Sosnkowski, przewodniczący F. O. M. i gen. dyw. Gustaw Orlicz - Dreszer, prezes L. M. K.

W Prezydjum zasiedli: Wice-premjer Eugenjusz Kwiatkowski, gen. dyw. Kazimierz Sosnkowski, J. E. biskup Okoniewski i gen. dyw. Gustaw Orlicz - Dreszer.

Zebranie rozpoczęto przemówieniem gen. dyw. K. Sosnkowskiego, transmitowanem przez radjo na wszystkie rozgłośnie Polskiego Radja. Mówiąc o morskiej polityce Polski, p. gen. Sosnkowski stwierdził, że „charakter zbrojeń morskich w związku z wielkiemi kosztami stwarza poważne kłopoty nawet dla państw o wiele zasobniejszych finansowo od Polski i wymaga od promotorów, t. zw. programów morskich, dużej ostrożności i silnego poczucia realizmu. **Tem niemniej istnienie takich programów i planowe ich wykonywanie jest niewątpliwą koniecznością**".

**„Pan Prezes Rady Ministrów** — mówił p. gen. Sosnkowski — **upoważnił mnie do złożenia tutaj następującego oświadczenia: „Fundusz Obrony Morskiej musi być uważany za równoległy z Funduszem Obrony Narodowej — każdy, kto składa ofiarę na obronę morską, dopełnia temsamem obowiązku obywatelskiego względem Funduszu Obrony Narodowej". Oświadczenie to rozstrzyga wątpliwości, powstałe ostatnio w toku akcji zbiórkowej".**

„Niechże rosnąca miłość Polaków do naszego morza sprawi, że przy wykonywaniu programu zbrojeń morskich Rzplitej, stosunek pomocy społecznej do świadczeń budżetowych Państwa, **bedzie przynajmniej w dziedzinie sił podwodnych, trwale utrzymany"**.

Kolejny mówca, p. Stefan Szwedowski, sekretarz Zarządu F. O. M. w półgodzinnem przemówieniu szczegółowo zobrazował działalność F. O. M. i L. M. K. w dziedzinie jej prac na rzecz zbiórki. Skarbnik Zarządu F. O. M. p. Stanisław Sumiński złożył wyczerpujące sprawozdanie finansowe. Zebrani dowiedzieli się, że **w ciągu 29 miesięcy zebrano zł. 4.100.000,—, wydatkowano zaś zł. 3.415.000,—** na budowę łodzi podwodnej.

Przewodniczący Wydziału Obrony Morskiej, szef Sztabu Kierownictwa Marynarki Wojennej, kmdr. Karol Korytowski mówił o pracach Wydziału, **o budowie łodzi podwodnej, która będzie gotowa już w 1938 r.** i o konieczności utrzymania na stałe hasła: „Musimy Polskę dozbroić na morzu".

Prezes Ligi Morskiej i Kolonjalnej, gen. dyw. Gustaw Orlicz-Dreszer w silnem, bogatem w treść i piękną formę ubranem przemówieniu, mówił o morskich przeznaczeniach Rzplitej, która nie może już nigdy powtórzyć grzechów przeszłości. Zobrazował ciężką rolę Marynarki Wojennej, mającej wolę czynu, wolę inicjatywy, karnego marynarza, gotowego walczyć i pracować na rzecz wielkich perspektyw dziejowych Rzplitej, a jednocześnie nie posiadającej należnych jej środków wykonawczych. **„Polska potrzeba powszechnej zbiórki na Fundusz Obrony Morskiej stała się polską radosną rzeczywistością".**

Przemówieniem Komisarza Rządu, Franciszka Sokoła, który uroczyście deklarował pomoc społeczeństwa, zamieszkałego na pobrzeżu, w pracach Ligi i F. O. M.-u oraz serdecznem podziękowaniem za pracę Przewodniczącego, zebranie zamknięto.

Opuszczając zebranie w podniosłym nastroju, zebrani przedstawiciele Polski wynieśli niezłomne przekonanie o konieczności wzmożenia zbiórki i jej upowszechnienia.

# Sprawa Gdańska

Śmierć gen. dyw. Gustawa Orlicz-Dreszera, Prezesa LMK, spadła na nas w momencie, gdy na ulicach całej Polski ukazały się afisze z rezolucją w sprawie zamachu senatu gdańskiego na prawa polskie w Wolnem Mieście, rezolucją znamienną, pod którą, jak pod testamentem, położył Generał swój ostatni podpis.

Rezolucja ta jest naszym odporem na zaborczą politykę niemiecką, idącą konsekwentnie po linji łamania traktatów i dobrowolnych zobowiązań.

Kwestja Gdańska wynikła z błahego napozór zajścia. Dowódca niemieckiego krażownika „Leipzig", przybyłego w końcu czerwca r. b. do portu Wolnego Miasta, nie złożył ostentacyjnie wizyty wysokiemu komisarzowi Ligi Narodów na W. M. Gdańsk, p. Sea Lesterowi. Wślad za tym krokiem i nie bez związku z nim, prasa berlińska opublikowała artykuł Alberta Foerstera, radcy stanu Rzeszy, nazywanego także „wysokim komisarzem Hitlera na W. M. Gdańsk". W artykule tym Foerster bezceremonjalnie dowodził, że zbędne jest wszelkie wtrącanie się Ligi Narodów w sprawy gdańskie. Artykuł ten wygłoszony został przez berlińskie radjo i — co najważniejsze — przedrukowany przez prasę Wolnego Miasta.

Stało się wtedy jasne, że Rzesza, po pomyślnem załatwieniu zmian w traktacie wersalskim, zapoczątkowała czynną akcję u ujścia Wisły. Celem tej polityki jest, o ile nie dążenie do całkowitego zerwania więzów, łączących Gdańsk z Polską, to przynajmniej wybadanie, jak na to zareaguje opinja świata i państw zainteresowanych, a ponadto, jakie ewentualne następstwa krok taki może za sobą pociągnąć.

W odpowiedzi na wyrażone w prasie stanowisko Gdańska, Rada Ligi Narodów wezwała prezydenta senatu gdańskiego, Greisera, by wytłumaczył się ze stałego lekceważenia, okazywanego p. Lesterowi.

Wtedy dopiero, jawnie i bez żadnych osłonek, Greiser oświadczył „w imieniu całego narodu niemieckiego", że jest to „pierwszy krok w kierunku doprowadzenia do zmiany i rewizji stosunku Gdańska do Ligi Narodów".

O ile to napastliwe oświadczenie uderzyło z jednej strony w Ligę Narodów, o tyle z drugiej jest groźbą, godzącą w prawa Polski w Gdańsku, w całość jej organizmu politycznego i gospodarczego. Dlatego musieliśmy jasno i zdecydowanie postawić sytuację i powiedzieć, że do tego nie dopuścimy. Musieliśmy oświadczyć to nietylko sobie, ale i całemu światu i tym, którzy dążą do zakłócenia stosunków sąsiedzkich i pokoju na kontynencie europejskim.

W tym celu, z inicjatywy Ligi Morskiej i Kolonjalnej, w całej Polsce odbyły się potężne manifestacje, w których udział wzięły dosłownie tysiączne organizacje, bez względu na zapatrywania polityczne. Naród polski dowiódł, że, jeśli chodzi o całość Rzeczypospolitej, potrafi się wyrzec swarów partyjnych, by stanąć, jak tego wymaga obowiązek, ramię przy ramieniu. Podczas manifestacyj uchwalono i podpisano następującą rezolucję:

**„Stwierdzając, że rozwój dziejowy Rzeczypospolitej wymaga rozszerzenia naszych uprawnień w Gdańsku w zakresie potrzeb gospodarczych i obrony Państwa, — że rozwój Gdańska, z racji jego położenia geo-politycznego, warunkowany był zawsze związkiem z Polską, — że, dzięki połowicznemu zadośćuczynieniu odwiecznym, życiowym koniecznościom i przyrodzonym prawom Państwa Polskiego, Gdańsk nie osiągnął dotychczas wszystkich korzyści, wynikających z położenia przy ujściu Wisły, —**

**żądamy ostatecznego utrwalenia odwiecznych, historycznych praw Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku i porcie gdańskim, — utrwalenia gwarancyj bezpieczeństwa i ugruntowania niczem nieskrępowanego handlu przez port gdański.**

**W związku z tem oświadczamy: Wszelka rewizja obecnego statutu gdańskiego może pójść tylko w kierunku rozszerzenia w Gdańsku uprawnień Rzeczypospolitej, która jedynie może zabezpieczyć całej ludności warunki swobodnego, kulturalnego, politycznego i gospodarczego rozwoju, a ludności polskiej zagwarantować równorzędny rozwój, jako współgospodarzom terenu".**

Hardy jednak i nieprzewidujący dalszych konsekwencyj senat gdański nie cofnął się, jakby mu nakazywał rozsądek, lecz poszedł dalej: złamał dotychczasowy statut przez wprowadzenie zarządzeń, bijących w prawa polskości w Gdańsku. Między innemi, wprowadzono zmianę w ustawie o stowarzyszeniach, które odtąd w każdej chwili mogą być rozwiązywane pod lada pozorem.

Prezydent miasta, Greiser, w imieniu senatu gdańskiego, oświadczył butnie, że Gdańsk nie jest „miastem", lecz „państwem", i z tego tytułu domaga się dla Gdańska praw, należnych jako państwu suwerennemu.

Z tego również przywłaszczonego tytułu, Greiser, podenerwowany polskiemi manifestacjami, ośmielił się założyć protest u generalnego komisarza Rzeczypospolitej na W. M. Gdańsk, lecz doczekał się odpowiedzi, że zajścia gdańskie właśnie taką postawę społeczeństwa polskiego wywołać musiały.

Sprawy powyższe stały się — i jeszcze będą — przedmiotem niejednej konferencji i rozmowy dyplomatycznej. Dla nas — jest wszystko jedno, jaki wezmą obrót. My ze swych praw w Gdańsku zrezygnować nie możemy: dla dobra i całości Rzeczypospolitej. Ujście Wisły, jeśli nie ma być wolne, może być tylko polskie — tego wymaga linja rozwojowa naszej ekspansji, naszych potrzeb jako państwa morskiego, dla którego wkrótce i dwóch portów będzie zamało.

*Zb. J.*

# Dziejowa przestroga

Jest nad naszem wybrzeżem morskiem miejscowość o królewskiej przeszłości: — Rzucewo. Dziś, kiedy każdy zakątek, każdy niemal metr wybrzeża przedstawia tak wymowną wartość twórczą, — spójrzmy dla przykładu w rzucewski krajobraz.

Ozdobą tej miejscowości są prastare lipy o potężnych pniach i rozłożystych ramionach, rosnące w długiej alei przydrożnej, na podobieństwo żywych pomników o trzechwiekowej trwałości.

Drzewa te miał ongi tutaj zasadzić własnoręcznie **król Jan III-ci, dziedzic rzucewskiego dworu,** gorliwy — jak wiadomo — władacz nietylko Rusi Czerwonej, ale i Kaszubskiej Ziemi, wielki rycerz i cichy ogrodnik.

Tutaj to w Rzucewie król-rycerz snuł mianowicie plany zagospodarowania wybrzeża i rozmyślał nad owładnięciem Prus Książęcych.

W rezultacie ledwo udało mu się wtedy uśmierzyć niepokoje gdańskie. Sejmowładztwo i „liberum veto" niszczyły w zarodku każdą myśl dalszą. Jakby na pociechę zamierzeń, powierzonych nowym, przyszłym **nadziejom odrodzenia ich w pokoleniu,** powitał król Jan w Rzucewie narodziny syna swego, Aleksandra, jedynego zresztą królewicza polskiego, któremu w kolebce pierwszą kołysankę śpiewało polskie morze. Więź tego rodowodu była widać mocna, skoro potem za umiłowanym królem i królewiczem ruszyła pod Wiedeń liczna gromada kaszubska od checzy rzucewskich, od brzegów rozewskich, helskich, od wszystkich wsi nad Chylonką, Płużnicą i Piaśnicą. (Przypomina ten udział Kaszubów w odsieczy wiedeńskiej poeta H. Derdowski w poemacie swoim p. t. „Koszubści pod Widnem").

Choćby tu w Rzucewie po raz wtóry utwierdzić się miało przysłowie **„Niemasz Kaszub bez Polonji, a bez Kaszub, Polści"** — jednak król-rycerz Jan III-ci, zawsze zwycięski i zaradny w sławnych rozgrywkach bojowych na lądzie, stawał w obliczu morza i wszystkich morskich poczynań — pokonany i bezradny. **Miał przecież sławną husarję, a nie miał nigdy na zawołanie równie skrzydlatej i bojowej — floty.** Jakże cierpieć z tego powodu musiał tu w Rzucewie na dziedzicznej strażnicy świetnego pokolenia tych Weyherów, którzy jeszcze od czasów króla Batorego bronili morskich szańców Rzplitej i w kronikach swej rodziny zawarli wybitny swój udział w morskiej batalji floty polskiej pod Oliwą. W rzucewskich jednak czasach dużo się zmieniło! Królowi Janowi dane było jedynie kontynuować w beznadziejności tragiczne bankructwo genjalnych planów morskich Władysława IV-ego, ubolewać z rezygnacją nad ciągłą zależnością od senatorów Gdańska, wspominać bezprzykładną martyrologię kaprów i przywoływać daremnie rozwiane marzenia o amarantowej banderze z szablą w zaciśniętym kułaku.

Wydawałoby się, jakbyśmy z przeznaczenia podjąć mogli tylko od tych drzew rzucewskich dalekie, kruche nuty skrzypeczek lipowych, a z niemi brzmienie rzewne, — ów przysłowiowy dziś kultywowany żal do zatraconych pogłosów morskiej historji Rzplitej.

Tkwi jednak w każdym calu tego porównania inna dziejowa sentencja, wyrażona głębiej przez wymowę wiekowej natury, że: — **trwanie w miejscu w stosunku do postępu naprzód może stać się w tej chwili groźbą podobieństwa.**

Znajdujemy się oto w tej chwili pod znakiem niesłychanie ważnej decyzji dziejowej, która ma stanowić o naszym **zbrojnym autoramencie na morzu,** — jak ongiś w czasach tyle razy zatraconych sposobności w dawnej historji Rzplitej.

Powtarzamy obecnie lapidarne hasła ślubowania, że **„cośmy na morzu stworzyli, — postanawiamy: — strzec! — nie dać! — rozszerzać!".** Wślad za tem winien wreszcie nastąpić przełomowy moment w dziejach nowej, wyzwolonej twórczej Rzplitej: — **stworzenie**

---

**Do dnia 21-go lipca 1936 r. zebrano na**

| | | | |
|---|---|---|---|
| **w pap. wart.** | **zł.** | **3.750.342,12** | **F.O.M** |
| **gotówką** | **„** | **461.537,25** | |
| **Razem** | **„** | **4.211.879,37** | |

**silnej Marynarki Wojennej. Tak, jak nigdy dotąd!**

Ileż bowiem wobec świadectwa wieków powtórzylibyśmy błędów, niedarowanych sumieniu narodowemu, gdybyśmy dzisiaj już tylko z winy niedouctwa powtórzyć znów mieli kardynalne grzechy niedołęstwa dawnej Rzplitej, wymierzone właściwie przeciwko: „armowaniu wybrzeża i sposobieniu floty wojennej do obrony morskich granic".

Pamięć o królu Janie III-cim, w szumie jego lip trzechwiekowych, przypomina dziś jakby ostatni akord olbrzymiej historji doświadczeń, której na imię: — memento!

Od czasów morskich rycerzy bolesławowych, od dziejów zwycięskiego oparcia się o Odrę, miarowe potem uszczuplanie piędź po piędzi rozległej ongi polskiej korony nad Bałtykiem, postawiło nas wobec ciężkiego wyroku rozbiorów, okupionego jednak ceną nazbyt drogą, aby na nową karę dziejową zasłużyć. **Ukażmy dowodnie, że poznanie historycznych błędów, utrwaliło prawdziwą, rzetelną wartość dzisiejszej wiedzy morskiej.**

Wyciągnijmy z tego naukę-drogowskaz innej, lepszej przyszłości.

Nie pozostawiajmy drzewom królewskim w Rzucewie ich skargi nad niemocą tęsknot daremnych.

Dziś, niech uświadomi sobie każdy, że tylko brak siły zbrojnej oraz słabość i nikłość polskiej floty wojennej nie mogły nigdy z pożytkiem służyć obronie naszych granic morskich. Tylko dlatego rozległy dawniej brzeg polskiego „dominium maris" zredukowany został do nikłego szczątka dzisiejszego wybrzeża. A jednak i dziś nawet ów szczątek dziedzictwa stał się — jak wiemy, — zbyt **cennym budulcem dla twórczego organizmu państwowego,** aby go, jak kiedyś, wystawiać bez obrony na nową próbę ew. zakusów zaborczych.

Odkąd z morskiej szkoły dziejowej wynieśliśmy zasadę, że nie ilość, lecz **jakość** ma orzekać o wartości naszego wybrzeża, każdy metr morskiego nabrzeża brzmi z falami wymową uczuć zbrojnych, czujnych i władczych.

Droga przed polską twórczością na morzu — jeszcze nie skończona. Musimy ją dozbroić wylotami dział okrętowych. Musimy ją osłonić i zabezpieczyć strażą silnego, zbrojnego ramienia, aby dopomóc dziełu, rozpoczętemu w Gdyni. Dlatego na naszych szlakach handlowych winniśmy zbudować równoznaczną Handlowej — Flotę Wojenną.

*J. Stępowski*

# Urok nadmorskich obozów

Wśród lasów półwyspu Helskiego, od strony wielkiego morza i od zatoki, pojawiły się proste, z desek sosnowych zbijane domki, już to pojedyncze, już to w grupach niewielkich, gromadach sporych, a nawet całych osiedlach. Któż to w nich mieszka? Jacy to ludzie rzucają mieszkania miejskie, by w jednoizbowych domkach przeżyć najpiękniejsze dni lata, zdaleka od wielkomiejskiego zgiełku, kurzu ulicznego, trosk, warsztatów pracy, by sycić oczy widokiem srebra i szmaragdu, rozlanego morzem od stóp aż po daleki horyzont, a płuca ożywczą wonią lasów szpilkowych i słonych powiewów morskich.

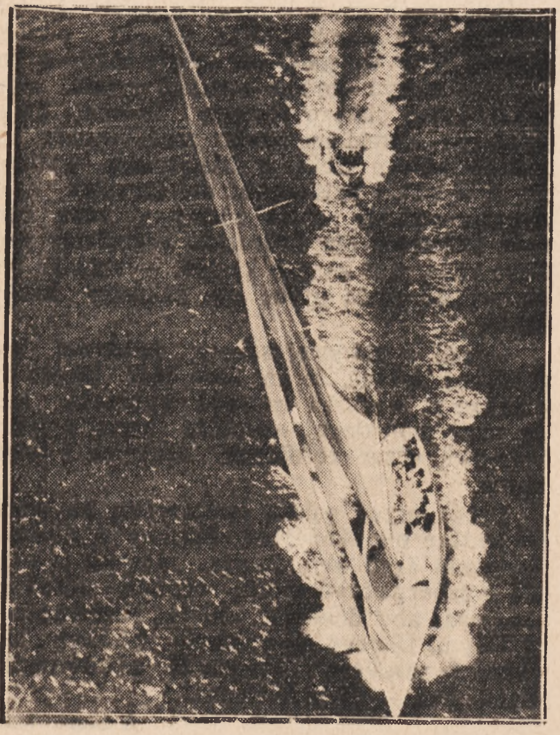
Pozwólmy unieść się rozdygotanym kołom pociągów aż po ostatnią, krańcową stację, poza którą jest już tylko morze. Stamtąd zejdźmy z drogi bitej, w lasy helskie, by posłaniem mchów, paproci, spadłego igliwia — dotrzeć do tych leśnych ludzi, zamieszkałych w prostych sosnowych domkach, a nie w wytwornych hotelach, willach czy pensjonatach.

Ledwo wyrzucił nas zasapany, zakurzony długą podróżą pociąg, oczy nasze już zatrzymały się na jednym takim domku kampingowym, stojącym obok głównego traktu helskiego. Pójdziemy tam. Już znalazł się usłużny harcerzyk, który samym brzegiem zatoki, omywanej leniwemi podpływami fal, poprowadził nas aż do otwartych drzwi domku.

Wewnątrz, dokoła stołu, wciśniętego między zbite z desek łóżka, zasłane prostemi kocami, można było dostrzec grupę jasnych głów dziewczęcych. To „Grażynki", harcerska drużyna żeglarska, nosząca tę popularną w Helu nazwę, pochodzącą od imienia ich jachtu, na którym w czasie wypraw na zatoke uczą się sztuki żeglarskiej. Jest ich niewiele, siedem, czy osiem zaledwie, wszystkie opalone na bursztyn i rade pożeglować na koniec świata na swym pięknym stateczku. Ale nie wszystko odrazu przychodzi. Coprawda, przeszły one już wstępne szkolnie na żaglówkach wiślanych, ale to jeszcze mało. Morze jest zupełnie innym żywiołem niż rzeka. Dopiero po całomiesięcznym kursie potrafią sprawnie manewrować



*Obiad w obozie LMK. w Helu*



*Z wichrem na fali*

jachtem pod komendą wytrawnej żeglarki-instruktorki, którą żegnamy z uśmiechem, by pójść na odkrywanie innych leśnych ludzi, po tamtej stronie toru, za którym żywym murem faluje gęstwina drzew, poruszana łagodnemi podmuchami wiatru.

Odgłos fal, bijących odwiecznie o brzeg piaszczysty, mieszał się z gongiem, płynącym jakby gdzieś zbliska. Kilka kroków i zza gęstwy sośnin prześwitują złotawo domki. Jest ich bardzo dużo. Za jednemi kryją się drugie, tam znów, za ścianą krzewów, jeszcze jest ich więcej. Za wydmą — grupa kilkunastu. A pośród nich namioty. To obóz Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Był on jednak narazie dziwnie pusty. Prócz paru postaci, przemykających barwnemi plamami wśród drzew, nie było nikogo. Aż dziwno, obóz bowiem liczy kilkaset osób. Gdzież są więc? Aha, widzieliśmy przecież na zatoce kolorową flotyllę kajaków z załogą „ligowców" Pełno ich przecież było także na plaży od strony wielkiego morza, — gdzie czysty piach wabi do leniwego wypoczynku w cieple słońca, łagodzonego słonemi powiewami wilgoci. W morze wrzyna się tam długim, szerokim jęzorem mielizna, gdzie woda — głęboka zrazu tylko do kolan, potem do pasa, piersi, ramion — pociąga nietylko wytrawnych pływaków, ale i nieumiejących się utrzymać na powierzchni, nawet dzieci, za rączkę prowadzone, a garnące się ze śmiesznem przerażeniem i zarazem ciekawością — do przezroczystej jak szkło bezdni.

Wysoko stojące słońce zniżało swój lot, przypominając obozowiczom o porze posiłku, który czekał na nich pod olbrzymiemi werandami, gdzie do taktu łyżkom, dzwoniącym o talerze, przygrywało radjo w rytmiczne posuwy wprawiając jednocześnie skore do tańca nogi. Przechodzący mimo obozu letnicy, patrzyli się i oglądali, śpiesząc do swych dusznych, niskich izb, wynajętych u Kaszubów.

A od Helu poprzez Juratę aż do Jastarni — wiatr szumiał, niosąc gwar radosny. Gubił się dopiero nad portem jastarnijskim, gdzie na lewym cyplu wyrosły nagle, jak grzyby po deszczu, duże piętrowe budynki. Nie było ich przecież w roku ubiegłym: był tylko dziki teren, prymitywne domki i niewielkie namioty obozu Akademickiego Związku Morskiego. Ale ta sama bandera powiewa na szczycie piętrowego domu, na którego lewem skrzydle wznosi się piękny, duży szklany taras. Ten sam obóz, tylko w nowej, zasobnej szacie. Coś zmieniło się w świecie żeglarskim. Duża motorówka „Baśką" udaliśmy się więc na drugą stronę portu, gdzie panował ruch niepospolity, i wrzało życie gorące. Tu jest tylko młodzież ze szkół średnich i wyższych, zgromadzona z całej Polski na zaprawę żeglarską. Właśnie duży dwumasztowy jacht „Swarożyc" podnosił wspaniałe żagle.

„Och, jakżebym chciał popłynąć na takim stateczku!" — wzdycha żałośnie mały, dwunastoletni chłopiec, stojący na molo ze starszą siostrą.

Nagle zaczepia przechodzącego obozowicza: „Zabierzcie mnie, będę wszystko robił, skrabał się na szczyt masztu, liny ciągnął, kartofle w podróży skrobał, wszystko"! — „A niech cię Bóg broni!" — krzyczy przerażona siostrzyczka. Chłopak spojrzał na nią z gniewem i mruknął coś, co brzmiało jak: „Ot, z babami..." — ale oczy wypogodziły mu się, gdy z przechodzącego obok jachtu, o ostrej linji dzioba, zatrzepotały ku niemu ręce kilku dziewcząt: i od steru, i z śródokręcia. „Widzisz" — zatriumfował, zwracając się do swej towarzyszki — „to są dziewczyny, prawdziwe dziewczyny morskie, a nie takie zmokłe kury, co to ledwo zamoczą pięty, a już krzyczą „och, jaka głęboka woda!" Ja bo będę marynarzem. Niech tylko podrosnę!"

Mały, dzielny chłopaku! Żeby pływać jachtami, nie trzeba być odrazu dorosłym. Nad pięknem jeziorem Narocz, o powierzchni 82 km. kw., zwanem „morzem wileńskiem"—jest obóz Ligi Morskiej i Kolonjalnej dla takich, jak ty, zuchów. Mają tam oni bogaty tabor żeglarski, kajaki i żaglówki, na których można doznać przedsmaku dalekich podróży morskich. Narocz bowiem, największa połać wodna w Polsce, jest takiem małem morzem śródlądowem. Na falach jego, nieraz bardzo wysokich rwą żaglówki w zawody z wiatrem, przyginane do fal, przystrojonych w białe, skędzierzawione baranki na grzbiecie. Innym znów razem, gdy cisza miękko wygładzi powierzchnię jeziora i rozsnuje się liljowym oparem dokoła, brzegów nie widać i jesteś jakby na wielkiej, bezbrzeżnej pustyni wodnej.

Tak to dziś, w całej Polsce, otwarte są drogi na morze dla wszystkich. Na rzekach i jeziorach, w portach morskich — czekają liczne tabory i flotylle jachtów zatokowych i pełnomorskich. Morze jest przecież nietylko dla wielkich okrętów wojennych i handlowych, ale i dla tych ogromnych rzesz młodzieży, tęskniącej do niego i do dalekich podróży, nietylko na eleganckich motorowcach pasażerskich „Batory" i „Piłsudski", na które niewielu może sobie pozwolić, ale przedewszystkiem na małych statkach żaglowych, które bardziej bratają nas z morzem i lepiej uczą je poznawać, rozumieć i przywiązywać się do niego, niż wielkie, luksusowe transatlantyki. A o to przecież chodzi.

*W. J.*

# KRONIKA

**Ku uczczeniu ś.p. gen. Orlicz - Dreszera.** Liga Morska i Kolonjalna, celem uczczenia ś.p. gen. Orlicz-Dreszera, przystąpi do wydania szeregu specjalnych publikacyj, a mianowicie: 1) dokładnego, wyczerpującego życiorysu Zmarłego; 2) Jego pism. artykułów i przemówień; 3) powieści z życia Generała, przeznaczonej dla młodzieży, przyczem na powieść tę zostanie ogłoszony konkurs.

Zanim Prezydjum Zarządu Głównego LMK. uchwali wydanie tych publikacyj, już teraz postanowiono pamięci Zmarłego poświęcić następne, t. j. wrześniowe numery: miesięcznika „Morze" i kwartalnika „Sprawy Morskie i Kolonjalne".

**„Fundusz uczczenia ś. p. gen. Orlicz-Dreszera".** W związku z licznemi ofiarami, wpływającemi do Ligi Morskiej i Kolonjalnej spowodu śmierci ś. p. gen. Orlicz-Dreszera, — Zarząd Gł. L. M. K. prosi o bezpośrednie kierowanie ich do P. K. O. nr. 367, konto specjalnego „Funduszu Uczczenia ś. p. gen. Orlicz-Dreszera, — którym to funduszem zadysponuje Rada Główna L. M. K.

**Wizyty obcych okrętów wojennych w Gdańsku i Gdyni.** W końcu czerwca przybyły do Gdyni dwa szwedzkie okręty szkolne „Najaden" i „Jarramas". Są to trzymasztowe żaglowce o pojemności 350 tonn każdy. Służą one jako okręty szkolne dla kandydatów na podoficerów marynarki szwedzkiej. Wizyta żaglowców szwedzkich nie miała charakteru oficjalnego. Przybyli na nich Szwedzi wzięli udział w uroczystościach „Święta Morza" w Gdyni. W początkach lipca przybyły do Gdyni również w charakterze nieoficjalnym, okręty fińskiej marynarki wojennej, a mianowicie pancernik obrony wybrzeża „Ilmarinen" oraz dwie łodzie podwodne. W końcu czerwca przebywał w Gdańsku niemiecki krążownik „Leipzig". Z ramienia polskiej marynarki gościa przywitał O.R.P. „Mazur".

**Ogólne obroty towarowe portu gdyńskiego w pierwszem półroczu wyniosły** w r. b. 3.676.814 tonn, wobec 3.565.047,4 tonn w tym samym okresie roku ubiegłego, wykazując 3,1%-owy wzrost obrotów.

**Połowy ryb.** W ciągu czerwca r. b. złowiono na polskiem wybrzeżu oraz na pełnym Bałtyku 283.600 kg. ryb. wartości 124.400 zł.

Ogólne połowy polskiego rybołóstwa wraz z połowami na morzu Północnem wyniosły w czerwcu r. b. 435.600 kg. — wartości 200.420. Stanowi to duży wzrost zarówno ilościowy, jak i wartościowy w stosunku do połowów w czerwcu r. ub. i maju r. b.

**Budowa portu rybackiego w Wielkiej Wsi.** Prace inwestycyjne na wybrzeżu idą przedewszystkiem w kierunku rozbudowy portów. Obok wspaniale rozwijającego się portu gdyńskiego rozbudowują się lub powstają nowe mniejsze porty. Najmłodszym takim portem polskim na Bałtyku jest port rybacki w Wielkiej Wsi, budowa którego szybko posuwa się naprzód. Dotychczas zabito już przeszło 4.000 sztuk pali dla mola zewnętrznego, wschodniego i zachodniego; zasypano kamieniami około 14.000 m³ wnętrza tego mola. Zabezpieczono je również od zewnątrz specjalnemi materacami z faszyny i kamieniami na przestrzeni około 120 m. b. W środku jednego i drugiego mola zbudowano ścianę podłużną z pali drewnianych na długości około 100 metrów bież. Jednocześnie wzmocniono brzeg po stronie wschodniej portu, wznosząc szczelną ścianę z pali drewnianych na przestrzeni około 120 m. b. Niezależnie od budowy portu, kierownictwo robót przystąpiło już do budowy drogi dojazdowej, która połączy nowy port z wielką magistralą szosową, biegnącą z Gdyni do brzegów otwartego Bałtyku.

**Poświęcenie nowej motorówki „Gryf".** W Gdyni odbyło się poświęcenie nowej motorówki „Gryf". Motorówka ta została zbudowana w Stanach Zjednoczonych A. P. i przeszła o własnych siłach przez ocean Atlantycki do Europy. W stoczni gdańskiej przebudowano ją częściowo, wstawiając nowy motor i dając pomieszczenie na 130 pasażerów. Motorówka „Gryf" będzie stale kursować w porcie gdyńskim, i na całem wybrzeżu.

OPŁATĘ POCZTOWĄ UISZCZONO RYCZAŁTEM



# Rozmowa z Czytelnikami

**P. Jerzy Zanecki — Warszawa.**

Odpowiadając na zapytanie Pana, jak się przedstawia kwestja szkół kolonjalnych we Francji i w Niemczach — podajemy poniżej krótki opis istniejących w tych krajach uczelni kolonjalnych. Oba te państwa, z których jedno posiada obszerne imperjum kolonjalne, drugie narazie dąży tylko do jego otrzymania — posiadają znaczną ilość uczelni wszelkiego typu, poświęconych specjalnie zagadnieniom kolonjalnym.

We Francji szkoły te mają za zadanie przygotować odpowiednio wyszkolony personel dla administracji posiadłości kolonjalnych, jak również specjalistów we wszelkich dziedzinach życia kolonjalnego — a więc w handlu kolonjalnym, rolnictwie tropikalnem itp.

Dwie najpoważniejsze spośród tych uczelni, to: 1) Narodowa Szkoła Francji Zamorskiej w Paryżu. 2) Narodowy Instytut Agronomiczny Francji Zamorskiej w Nogent n/Marną.

Istnieje ponadto cały szereg innych szkół, jak np. Szkoła Służby Sanitarnej Wojsk Kolonjalnych, Praktyczna Szkoła Kolonjalna przy Szkole Handlowej w Havrze, szkoły rolnicze w kolonjach, a mianowicie: Instytut Rolniczy koło Algeru, Kolonjalna Szkoła Agronomji w Tunisie, Uniwersytet w Hanoi itd.

Jednakże tylko dwie wymienione na początku szkoły obejmują swoim programem wszystkie dziedziny życia kolonjalnego, to też wyższy personel kolonjalny francuski rekrutuje się prawie wyłącznie spośród wychowanków tych zakładów.

Kandydaci do Narodowej Szkoły Francji Zamorskiej w Paryżu przyjmowani są na podstawie konkursu i wymagane jest dla nich ponadto świadectwo z ukończenia 1 roku prawa. Program studjów na tej uczelni obejmuje, (wymienimy tutaj tylko najważniejsze przedmioty): historję kolonizacji, geografję i etnografję, nauki przyrodnicze, zasady administracji i systemu ekonomicznego w kolonjach francuskich, ustawodawstwo finansowe i administracyjne w kolonjach itp.

Narodowy Instytut Agronomiczny Francji Zamorskiej w Nogent n/Marną, przyjmuje kandydatów z ukończonemi już ogólnemi studjami rolniczemi, którzy dopełniają swojego wykształcenia, specjalizując się w rolnictwie tropikalnem. Program tej szkoły obejmuje następujące przedmioty: rolnictwo kolonjalne, technologję kolonjalną, botanikę, patologję roślin tropikalnych, pasożyty i szkodniki kultur, eksploatację lasów, technikę rolną w kolonjach i t. p.

Przechodząc do opisu szkół kolonjalnych w Niemczach, myślimy że uderzy Pana zapewne wielka ich ilość. Ilość tych szkół świadczy, jak gruntownie i praktycznie przygotowują się Niemcy do objęcia kolonij, których zwrotu coraz usilniej się domagają.

W ciągu ostatnich kilku lat liczba katedr i uczelni nauk kolonjalnych w Niemczech wzrosła ogromnie. Istnieje tam obecnie 341 katedr, poświęconych zagadnieniom kolonjalnym, podczas gdy jeszcze w r. 1933 było ich tylko 196. Ponadto istnieje w Niemczech 9 szkół i instytutów, poświęconych wyłącznie kształceniu przyszłych kadr pracowników kolonjalnych.

Z wyżej wymienionych 341 katedr, 105 jest poświęconych kwestjom polityki, ekonomji i geografji kolonjalnej; 47 — kwestjom etnograficznym, religijnym, rasowym Afryki; 56 — naukom medycznym, geologji, botanice itp.; 109 — wykładom języków afrykańskich i 24 — kwestji niemieckiej zagranicą.

Centrami nauczania kolonjalnego są Berlin, Hamburg, Lipsk i Tübingen.

Niemieckie szkoły kolonjalne nie ograniczają się jedynie do teoretycznych wykładów, lecz wymagają od swoich wychowanków odbycia praktyki w specjalnie do tego celu przeznaczonym majątku Gelsterhof. Majątek ten o obszarze ok. 1.000 morgów, położony na malowniczych wyżynach Turyngji, posiada wszelkie możliwe urządzenia, udostępniające wychowankom szkoły praktyczne zaznajomienie się z tem wszystkiem, co przyszłemu koloniście może być potrzebne. A więc są tam prowadzone wszelkie gałęzie hodowli, różnorodne plantacje, szkółki, cieplarnie z kulturami roślin tropikalnych itp.

Na kompletny program nauki kolonjalnej w Gelsterhofie składa się 1 rok praktyki i 4 semestry studjów teoretycznych.

Przy przyjmowaniu wychowanków do szkoły w Gelsterhofie przeprowadzana jest ścisła selekcja, przyczem zwraca się baczną uwagę zarówno na fizyczną, jak i na moralną stronę kandydatów, od których wymaga się, poza innemi kwalifikacjami, pewnej dojrzałości politycznej.

PRENUMERATA ROCZNA 2 ZŁOTE

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Widok 10, telefony: red. 290-95, admin. 6-99-66.

WYDAWCA: Liga Morska i Kolonjalna — Redaktor: Henryk Sikorski.

Druk. Zakł. Graf. „Dom Prasy", S. A., Warszawa, Marszałkowska 3.